

BAŚŃ PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ

POEMA NAPISAŁ WACŁAW MAKOWSKI

Z KSIĘGOZBIORU
Eugeniusza Przeździeckiego

KRAKÓW. — Druk W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI. — MCMII.

CZĘŚĆ PIERWSZA ♦ ♦
Z KSIĘGI WYROKÓW



A rzekł Pan do niego: «Zbudź się!»

«Zbudź się i zstąp na ziemię i obejdź dawne włości twoje i obacz, jako żyją synowie twoi, azali żyją jeszcze, azali śmiercią nie pomarli?»

«Czy cnota i zapal nie wygasły w sercach ich, czy nie schylili czoł dumnych w pokorze przed gwałtem i przemocą?»

«Czy w bólu nie skonana dusza ich, czy nie czczą bałwanów jakich ziemskich, czy się nie modlą u tronu królów przeklętych?»

«Idź, obacz!»

I rozpostarł Duch skrzydła białe i szedł, podobny Chrystusowi na krzyżu, cały srebrzysto-biały, zarumieniony purpurowym odblaskiem zórz, co wschodziły.

Płynął ponad ziemią i ponad krajem swym, a potem zstąpił i obchodził pałace i chaty, jak upiór stawiał we drzwiach i popod oknami.



I widzieli i czuli ludzie obecność jego i mówili w sercu swoim:

«Oto zstąpił z nieba Duch nasz, Duch narodu naszego, biały, oblany jasnością zórz wschodzących.

«Oto nadeszła godzina, abyśmy powstałi orężem zbrojni i pomścili śmierć ojców naszych i braci i niewolę naszą.

«Oto stawa popod oknami naszemi Duch on i pyta: — Azaliż zapomnieliście o mnie?

«Czyż pozostawimy zamknięte drzwi domów naszych? — niechaj się przed nim roztworzą na ścieżaj domy nasze i dusze i serca nasze.

«Niech wstąpi w nas i niech powie nam, co czynić mamy, ażeby jemu lepiej było i nam lepiej było.

«Bo snąć ciężki pędzi żywot, skoro jak upiór błądzi po ugorach i do drzwi i okien naszych kołata i skarży się wyciem wichrów jesiennych.

«Snąć boli go hańba jego i niedola nasza, skoro z niebiosów ku nam zstępuje i we snach nam się jawi jego twarz blada.

«Otwórzmy więc przed nim serca nasze i wprowadźmy



go w dusze nasze, niechaj on powie nam, co czynić mamy, aby dolę lepszą dlań i dla siebie pozyskać.

«Bo oto na karki nasze wtłoczono jarzmo niewoli, oto zaprzężnięto nas do pługa i cudzą rolę kazano nam orać i potem swoim i krwią swoją rościć.

«A naszą rolę zabrano, ogniem spalono zasiewy na roli naszej, w pustynię ją zamieniono i oblano krwią braci naszych zabitych.

«Bo oto my jesteśmy raby podle, my, co niegdy panami byli, musimy służyć i chylić karki i rany knutami zadane, na plecach swoich mamy».

I tak mówili między sobą ludzie owi i otwierali dusze i serca przed Duchem, a on wchodził w nie i nauczał jako czynić mają — —

I szedł tak Duch on przez pola ugorne i przez miasta ludne, a kędy spotkał ludzi, wstępował w serca ich i nauczał.

I wielu spotkał na drodze swej, co posłuszni mu byli i gotowi iść za nim wszędzie, kędy ich powiedzie, i służyć mu i krew zań przelać.



Aż oto spotkał Duch⁷ starców siwych, latami pochy-
łych, o których wiedział, że wodzami narodu być
mają, i mówił do nich.

A oni ponuro siwemi kiwali głowami, jako że nie
było w nich wiary, aby dokonali dzieła świętego,
o którym Duch mówił.

Serca ich pełne były miłości, ale nie było zapалу
i wiary i nadziei.

Więc smutno było Duchowi, że nie wierzą w zmar-
twychwstanie jego, ale szedł dalej nie wątpiąc.

I oto spotkał ludzi, którzy z lękiem uciekali odeń
i szczelnie zamykali przed nim serca swoje, albowiem
brudne były.

Schylili ludzie owi czoła przed potęgą ziemską i przed
potęgą złotą i odstąpili Ducha, bo nie wierzyli weń
i nie mieli dlań miłości.

Trwogą przejmował ich ten Duch zmartwychwstały
i uciekali odeń, jak zbrodzień ucieka od zbrodni swo-
jej widoku.

I jeszcze smutniej było Duchowi, że dzieci odstępują
go i zdradzają, ale szedł dalej nie wątpiąc.



I oto spotkał ludzi, którzy patrzyli nań zadziwieni,
jakby nie wiedząc, kto zacz jest.

A kiedy mówił im: «Azali nie poznajecie mię?

«Jam jest Duch narodu waszego. Bóg zesłał mię na
ziemię, abym przyniósł światło zmartwychwstań»;

Oni poglądali nań obojętni, albowiem zapomnieli już
byli przeszłości; pleśnią zieloną pokryły się robacze
dusze ich i dobrze im było w niewoli.

I jeszcze smutniej było Duchowi, że dzieci zapomi-
niają już o nim, — ale szedł dalej.

A Pan poglądał z niebiosów i widział wszystko i po-
wiedział w sobie:

«Nie nadeszła jeszcze godzina, abym wywiódł z nie-
woli naród ten, nie są jeszcze wzmocnione siły jego.

«Wszakże niechaj podniosą się ci, co wierzą, niechaj
walczą i niechaj przyniosą ofiarę odkupienia;

«A chociaż słońca zmartwychwstań ujrzeć im nie bę-
dzie dano, to przyjdzie jego nie o jeden dzień wszak
przyspieszą.



«Powstaną oni, jako wstają fale morskie, kiedy się nad nimi wicher burzliwy rozsroży.

«Z jękiem i rykiem idą straszne i niepowstrzymane i piętrzą się i błyskają białymi grzywami biją straszne i wściekle o skały granitowe.

«I nie jedna skała padnie pod naporem fal i nie jeden okręt, co się grzbiety ich bruździć poważyl, utonie w paszczy rozwartej.

«Ale brzegi ostaną niewzruszone, sił morzu zabraknie, wicher burzliwy przeleci, i ono w dawne powróci łóżysko.

«I powstanie naród on, jak Tytany — i jak Tytany powalony legnie.

«Niepomny na nic, pójdzie pełen rozpaczy i walczyć będzie i mścić się za swego Ducha poniewierkę i hańbę, za swoją krzywdę i niedolę.

«Pójdzie, owiany rykiem gromowym, oblany światłem czerwonych błyskawic.

«A kędy stąpi, krew będzie, a za nim stada zgłodniałych kruków lecą.



«I będzie to dzień bohaterów, ale nie bohaterstwa;
i będzie to dzień zwycięstw wielu, ale nie zwycięstwa».

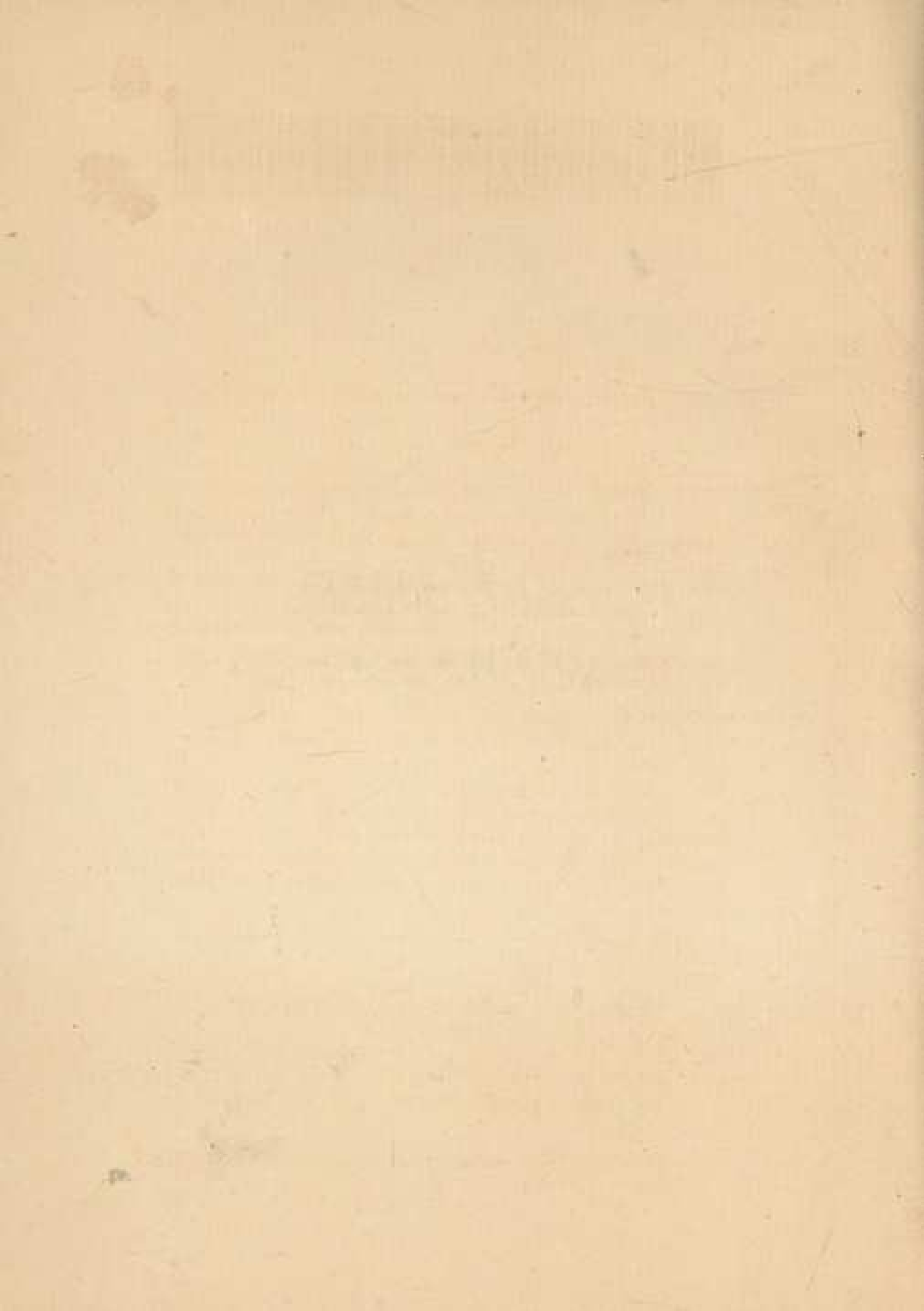
Tak mówił Bóg w sobie, ale Duchowi nie rzekł nic.
Więc dalej obchodził on pałace pańskie i chaty że-
bracze.

Aż przyszedł oto na ziemię Litewską, w krainę puszcz
i borów dziewiczych — —



CZĘŚĆ DRUGA

DUCH ♦ ♦ ♦ ♦





Upalne lipcowe popołudnie. Polana w odwiecznym nieprzebytym lesie. Na prawo gąszcze, kędy nie dochodzą nigdy słoneczne promienie, mrok i wilgoć. W głębi przez wyrąb otwiera się widok na rżyska i ugory. Cisza; od czasu do czasu przetacza się po koronach powiew wiatru. — Niby mistrz-wirtuoz, próbując instrumentu, dobywa on oderwane, nie powiązane w jedną tony i akordy i napelnia słuchaczy uczuciem nerwowego, męczącego oczekiwania. — Niby ptak potężny, zanim do lotu się wzbije, nderza skrzydłami ciężko i powoli, jakby próbował ich siły, czy go uniosą jeszcze, czy nie zawiodą? — za chwilę wypręży je i wzleci, — za chwilę pieśnią wichru potężną rozebrzmieje puszcza. A teraz cisza panuje i melancholia brzemienna, w sobie skupiona i zapatrzona w siebie.

Od ugorów płynie postać jakaś widmowa; starzec, ale z tych, co nie umierają nigdy, bogów potomek. Szaty na nim podarte w strzępy, kolce głogów i cierni tkwią w nich, jedna gałąź cierniowa jak korona winie mu się wkoło głowy i czoło krwawi. Na twarzy smutku i bólu pełnej wyraz wielkiej dumy i powagi. Płynie, a drzewa, jakby hold mu składały, głowy pochylają przed nim. Czasem się rozlegnie wróble kruk krakanie, czasem jastrzębia przenikliwe gwizdnięcie. I znowu cisza. A Duch płynie, witany przez chylące się drzewa — — —

DUCH.

Powstałem z grobu duch i przez ugorny
idę szlak,
nademną jakiś czarny ptak,
żer trupi wietrząc, kracze;



idę ja zmarły i upiorny
ogłądać dzieci me — tułacze,
ogłądać ciało me gnijące — — —
Jam niegdyś dumną dłonią
sięgał nad chmury, tam gdzie słońce,
gdzie złote gwiazdzice
się płoną —
— dzisiaj upiorne mam lice —
jam niegdyś w złotą zakuty zbroicę,
do ramion orle przyczepiwszy skrzydła,
jak huraganne pędził nawałnice
przez świat, po drodze
śmierć szerząc i strach,
i każdy drżał w trwodze — — —
Na krwawych, piorunowych skrach,
w ponurą czarnych chmur odzian opończę,
pamiętam — chodzę,
i świat w pokorze gnie się prawie cały;
albo lilijnym opleciony wieńcem,
ozdobion świtów złocistych rumieńcem,
jak biały ptak,
jak świętej prawdy znak
leciałem, niebo skrzydła gończe
w krąg obiegały — — —
Dziś barwy szat moich spłowiały,
Szczerbce w zagonach zardzewiałe leżą,
a ja umarły, grzyb mię pokrył pleśń — — —
i w zmartwychwstanie moje ludzie już nie wierzą;



przebrzmiały tony mur kruszącej pieśni,
przebrzmiały na wieki — — —
kamieniem zmarłe nakryto powieki,
gwoźdźmi przybito mieczowładne ręce,
gdzieś, z uralskiego przytoczywszy szczytu
odłam granitu
pierś przywalono; — skonałem — — —
— skonałem — piekiel oddan męce
duch mój się w ogniu czyszczącym omywa —
Czasem przychodzi na mię dzień zaduszny,
a wówczas dawnem ozdobiony ciałem
na ziem zstępuję — — — jak żywa
postać ma po ugorach błądzi —
i przypominam przeżywane chwile,
trwogą przejmuję niesromne zabójce — — —
jako Bóg-sędzia, co wszystkich osądzi,
dzieci me sądzę; jako ksiązę stawam,
tronem mi granit, złożon na mogile —
Stawam i rękę na krzyżu oparłszy
wołam na sąd swój i dzieci i ojce —
idą kolejno, kto starszy — — —
Stają, — bolesne mają oblicza, —
starcy ku ziemi chylą siwe głowy,
młodzieńcy wznoszą pełne żaru oczy,
kobiety leją łzy — — —
Ja stoję—wzrok w tarczę słońca utkwilem i mówię,
klnę, z niebios przyzywam pioruny:
«Wy, winy pełni, — tam szatan oblicza



«grzechy, słaboście, zbrodnie, zdrady wasze,
«tam Chrystus patrzy na was i krwią broczy,—
«ja, waszych losów przeczytawszy runy,
«piorunowemi będę słowy
«dusze wam targał, nurzał w krwi — — —
«wyście koronę wszak mieli na głowie,
«w ręku stalowe mieliście pałasze,
«wyście panami byli — raby — — —

— — — Zmilkłem — ja winien, ja słaby, —
nie mogę sądzić, z nimi razem płaczę,
wszyscy jednako jesteśmy tułacze — — —

Leżę, powalony na ziem, leżę,
a kruki mię obsiadły dookoła,
przychodzi różne trupiożerne zwierzę
i krąży głodne — — —
Słyszę skrzyp dziobów ostrzonych o ziemię
i wilków wycie —
ja leżę, zbawiony mogilnego doła,
powietrze truje trupa mego gnicie — — —
— — — Nie! jam nie umarł, żywy-m!
Czasem przebiega po mnie dreszcz potężny,
a wówczas drży szakale plemię; —
czasami, jakby ze trąby mosiężnej
jęk się z mej piersi dobywa:



«Matko nieszczęśliwa!
«Narodzie mój, jeszcze ja ciebie szczęśliwym
«uczynię — — —
«jeszcze zbuduję my Przymierza Skrzynię,
«a w niej zamieszka Bóg!

— — — — —

Duch znika, bo oto z lasu wychodzi MŁODZIENIEC, ciemne włosy długie spadły mu na czoło, a na niem smutek snąć jakiś, duszę gniotący, zmarszczki pobruździł głębokie. Idzie i mówi, jakby do siebie i lasu — posłuchajmy co mówi:

Nieznanych jakichś trwóg
pełen mi zda się las — — —
Wszakże go znam doskonale,
nie jeden wszakże raz
te dzikie ostępy przebiegłem;
kiedy mię wąpień obsiadły szakale,
wyjąc straszliwy zatracenia śpiew,
kiedy tęsknoty na mię wołał zew,
tęsknoty za czymś nieznanem, odległem, —
tu przychodziłem, tych drzew
kojących słuchać szumów; —
a dziś mię lęk, nieznany dla rozumów
lęk mię przechodzi — — —

Słońce się pali, blasków śle potoki,
a w duszy mojej mroki; —
w świetlistej powodzi
stuletnie toną drzewa,



wietrzyk po liściach i gałązkach śpiewa, —
a w duszy mojej mroki —

Dwa lata ją kochałem; dwa lata
marzeń, tęsknot nieprzerwanych snucia, — — —
a dziś się wlokę niby trup bez czucia — — —
Smutek na duszy mej siadł,
smutek nieznany,
i dawny urok utracił światu,
słonecznym blaskiem zalany — — —
Nie kocham siebie, nie kocham świata,
Smutek bezbrzeżny i Ból, pan nad pany,
dziś duszą moją władną,
a dusza moja tych władców układną
stała się sługą — — —
— Dwa lata — krótko to, lecz długo — —
bo ją kochałem całą duszy mocą,
całą potęgą młodą, niestrawioną — — —
Ha! gdybym kochał jedną z tych gwiazd, co migocą
na nieba błękicie,
to prędzej może do łona jej łono
byłbym przycisnął i rozjaśnił życie — — —
Chciała być z bajki zaklętą królewną,
a ja królewiczem nie byłem — nie będę — — —
— — — — — — — — — — — — — — — —
— — — Żebyż mi teraz dał kto harfę śpiewną!
ja z niej piosenkę tak smutną dobędę,
że gwiazdy pobledną!



boleść duszy opowiem,
boleść, co legła na piersi ołowiem,
w pieśń całą duszę mą przeleję biedną,
będę się skarżyć i pioruny miotać,
będę przeklinać, do nieba łomotać, — — —
a potem zagram piosnkę cichą, rzewną,
że lzy popłyną; — gdyby mi teraz dał kto harfę
[śpiewną — — —

— — — — —

Opiera głowę na rękę i siedzi zadumany, na potężnym powalonym pniu starego dębu. Słońce coraz bardziej pochyla się ku zachodowi, coraz czerwidsze wysyła promienie. Z drzew, z kwiatów, traw, z fal rzeczulki płynącej nieopodal wylaniają się bajeczne postacie rusalek, dziwożon — litewskich dryad i ondyn. Potężna, jak z kamienia ciosana, ciemna, czarnowłosa boginka dębu, biała jak śnieg, wiotka, zdobna kaskadą jasno-złotawych włosów boginka brzozy, smukła i wysoka — sosny; drobne chwiejne Kwiaty i Trawy; omdlewające jak gdyby z rozkoszy, a wiecznie ruchliwe Fale; — słowowłosy stary WIATR chodzi powoli między nimi, one ustępują mu z drogi, pochylają się przed nim, jakby w tańcu — — — śpiewają cichym szeptem srebrnym. — — —

CHÓR

My ci damy lirę,
gęśle samograje,
z nich popłyną szczyre
dźwięki jak ruczaje — — —

ledwie dotkniesz dłonią,
pieśń już lira śpiewa,



dźwięki skrzą się, płoną,
serca pieśń rozgrzewa — — —

WICHER

Ja dam twojej pieśni potęgę,
dam groźną jej moc piorunową,
jak błyskawic czerwoną wstęgę
rozplotę ci ją ponad głową.

Dam jej rozmach i rozpęd szalony,
skrzydła swoje dam pieśni wichrowe, —
że jak wzleci nad dębów korony,
dąb ku ziemi pochyli swą głowę — — —

DĄB

Ja twej pieśni powagę dam dumną,
co się nie gnie, nie schyla w dół czoła,
choć otoczy czeredą ją szumną
zgraja sług piekielnego anioła —

Dam siłę, co się burz ni nawałnic nie lęka,
dam pewność, wiarę i wytrwałość,
dam nieskruszoną piorunami stałość, —
że kiedy pieśń skona i serce wnet pęka — — —

BRZOZA

Ja smutne, srebrne listeczków dzwonienie
w twe struny wcielę; jako się boleśnie



skarżą, gdy wstrząsa niemi bólu drżenie,
tako skarżące z harfy płyną pieśnie — — —
i będą dzwonić tak czysto, srebrzyście,
jako przy wietrze moje dzwonią liście — — —

SOSNA

Ja pieśni twej strzelistość dam,
co się ku niebu wzbija coraz wyżej,
jakby w przestwory chciała wybiec tam,
kiedy się orzeł tylko wzbija chyży,

i będzie sięgać wierzchołkiem nad tłum
siostrzyc, co zwartem otoczą ją kołem,
będzie górować szumem ponad szum,
jako nad czoła ja góruję czołem — — —

KWIATY

My twej pieśni damy kolory,
barwy rozliczne,
my upleciemy z tonów wzory,
wzory prześliczne,
wieńce dziewiczych godne włosów,
piękne i wonne;
jako dziewice pieśni twe niebiosów
dojdą — studzwonne
i stufarbne będą się rozlewać,
jak szum w dąbrowie,



i będą gędzić i będą śpiewać,
jak aniołowie — — —

WODY

A my ci damy rozlewność fal,
że będą pieśni płynąć jak wody,
błyszcząc pod słońce grzywą jak stal,
albo szalejąc w dzień niepogody — — —

Jak my się pienim będą się pienić,
jak my wciąż brzegów kajdany gryźć,
jak my się będą w słońcu rumienić,
jak my wciąż naprzód i naprzód iść — — —

DUCH ukazuje się znowu pod ogromnym dębem prawiecznym; nieruchomy stoi, otoczony cieniem.

A JA TWEJ PIEŚNI NADAM TREŚĆ! — — —
— — — — — — — — —

Chwila milczenia — potem CHÓR lasu, jakby przełknięty, cichym, powolnym, przeciągłym szeptem powtarza:

Cześć tobie Duchu, cześć tobie, cześć! — — —

MŁODZIENIEC, obudzony z zadumy gromowemi Ducha słowami, patrzy nań wpół przytomnie z lękiem:

Któżeś ty? — — zda się, że znam ciebie — — —
może cię kiedyś w snach widziałem —



aleś ty wówczas miał szaty barwione
promieniem słońca na niebie,
aleś na czole miał królów koronę, —
a dzisiaj — nagiem świecisz ciałem — — —
szaty przepyszne masz podarte w strzępy,
na twojem czole jakieś dziwne ślady,
jakby je kruków dziób wybródził tępy,
takiś upiorny, taki blady,
jakby z za świata cień — — —

• CHÓR smutno i przeciągle echowym szeptem powtarza:

Zaduszny dzień, zaduszny dzień — — —

MŁODZIENIEC mówi. Słońce tymczasem opada coraz niżej, zagląda w ciemnie i opromienia szkarłatnymi blaskami postać Docha.

Któżeś ty? — Czyli przychodzisz z za świata?...
dech jakiś trupi za tobą przylata,
a jednak jesteś piękny, jesteś jasny,
słoneczny blask cię oblał krasny
i w oczach twoich odbłaskiem się pali,
a oczy twoje, jako ostrze stali — — —
Powiedz, dlaczego patrzysz smutno?
Czy ty znasz tajne mej duszy cierpienia
i moją boleść okrutną? — — —
możesz mi przyszedł wskazać ukojenia
drogę śmiertelną? — — —

Wiatr wstaje, targa gdzieś zdala drzewami, rośnie, potężnieje, między konarami się przewija, a cała puszczę jęczy i drga nerwowo.



Snać kędyś na widnokręgu zebrały się czarne chmury, burzę nio-
sące; — oto uderzył grom, puszcza trzykrotnym odezwała się ję-
kiem; Duch przy gromowym uderzeniu zmienił się naraz, stał się
wspaniało-światny, koronę ma na głowie i stoi w blaskach słońca.

CHÓR głosem potężnym, jak puszcza, kiedy echo gromów powtarza:

Zmartwychwstań dzień! — — —

MŁODZIENIEC zachwycony:

O! teraz widzę cię takim jak dawniej,
jak w snach: świetlisty, jak królowie sławni,
a taki wielki, jasnością promienny
jako ta puszcza w zieleni wiosennej,
z ciężkich zimowych obudzona śnień — — —
a taki odblask w twoich oczach boży,
że się duch przed tobą korzy
i kłekać chce, nieznanych pełen drzeń — — —
Powiedz, czy ty z za świata mi przynosisz wieść?
Tyś mówił: pieśni mojej nadasz treść,
jaką?

Ściemnia się coraz bardziej. DUCH nie odpowiada — stoi chwilę
jeszcze i zwolna odchodzi; za nim z gęstwiny wylaniają rycerzów
roty, w srebrnych zbrojach, na białych koniach, odziani w pła-
szcze białe, ze skrzydłami orłów białych do ramion przypiętymi,
oblane purpurą konających blasków zachodu ciągną przed mło-
dzieńcem w długim szeregu cicho, bez szczęku broni, bez tętentu,
niby widma, niby duchy zagrobne; przechodzą i znowu nikną w gę-
stwinie.

MŁODZIENIEC przez chwilę stoi zamyślony, olśniony zjawiskiem
przedziwnem, niezemskim, rękę do czoła przyłożył; — nie widział,



jak duchy lasu przyniosły mu gęśle tajemne i przy nim postawiły. —
Odiął rękę od czoła, jakby w postanowieniu jakimś nagłym, opu-
ścił ją, opadła na struny; — a ze strun płynie ton, on mu pieśnią
wtóruje, las się echami stąkającymi ożywa; burza nadchodzi, pio-
runami zieleje — — —

Zmartwychwstań nadszedł dzień!
Duch żywy z grobu wstał
i szedł wśród gromu pień
w odzieży złotych strzał! —

Kto żyw, niech wstanie,
niech oczy otrze z łez,
piorunne głosi granie:
niewoli nadszedł kres! —

Duch żywy rzucił grób
i szedł zwiastować święto:
— Zmartwychwstań dzień!
Na krzyżu go rozpięto
i z krzyża zstąpił trup
i szedł zwiastować święto:
— Zmartwychwstań dzień! —

Zasłona spada, — czarna, nocna; z poza niej słychać gromów huk
i echa, jak powtarzają:

Zmartwychwstań dzień — — —

— — — — —

ŚMIERĆ ♦ ♦ ♦ ♦

CZĘŚĆ TRZECIA



Ta sama, co poprzednio, polana w lesie. Noc. Nad puszcza szaleje straszna nawałnica. Chwilami ucicha, jakby konała już, wicher, zmęczony pędem szalonym, wypoczywa chwilę, las huczeć przestaje, tylko słychać zdaleka jakby tętent kopyt niezliczonych, to kędyś wicher znów gna. Przybiegł, targnął drzew konarami, jęk straszny z piersi lasu dobył — szaleje. Konwulsyjnie drga puszcza, huczy i szumi i jęczy. Ogniste węże błyskawic krają niebios czarną ponurą kopułę, leją zielonawo-błękitne światło na las i polanę. Widać bojowisko święte; — niedawno zmagaly się tu moce człowiecze; widać trupy rozrzucone dokoła, jęk rannych jękom puszczy wtóruje. Nad kurhanem na prawo ognik jakiś migota i gaśnie, tajemny bo też jest ten kurhan prawieczny. Po lewej, nieco od reszty trupów odosobniony leży Młodzieniec, już z niego życie zrobiło CZŁOWIEKA; leży ranny, wązkiem pasemkiem krew mu z piersi się sączy, w dłoni gęśle przedziwne ściśka kurczowo. W krag niego snowają się duchy te same, co harę mu dały, snowają się smutne, bo oto umiłowany od nich bohater ranny jest — skona — — — A nad polaną ciemności groźne nawisły, a kołem drzew stoją pnie czarne — — —

WICHER pędząc targa dębu konarami i huczy:

Ha, ty dębie prawiekowy,
do mych stóp uchylisz głowy,
drżyj, szamoc się, drżyj! — — —
zegnę, zetrę, złamię ciebie,
zegnę stary dumny łeb,
w ziemi, w błocie cię zagrzebię — — —



nie chcesz korzyć się? — — — toś kiep! — — —
Patrz, jak trzęsie się osina,
na ludzkiego patrzaj syna,
głowę dumną los mu zgina,
zwyciężony padł — przeklina, —
na ludzkiego patrzaj syna,
leś zielony do stóp gnij,
drż, szamoc się, drż! — — —

DĄB

Nie przed takimi jak ty siłaczami
ja nie chyliłem swej zielonej głowy; —
ty pójdziesz precz, ja będę stał,
jak stałem i jak stoję — — —

WICHER

Na zwał, na zwał! — — —

BRZEZINA

Rzęsistemi płacząc łzami,
sypią się listeczki moje,
wiatr je niesie w dal,
żał, żał, żał — — —

Wiatr się wzmaga, popłoch wśród drzew, ogniki błędne skaczą i migają niespokojne. — Puszczą całą jęczy tysiącami dźwięków rozbrzmiewa. Dąb trzeszczy, młode drzewiny gną się ku ziemi. A tam świerk stary z loskotem na ziemię się powalił — — —



CZŁOWIEK otworzył oczy, dotychczas zamknięte i głosem cichym, głosem rannego, który wie, że go śmierć czeka, mówi, a w głosie, a w oczach taki smutek bezbrzeżny — — —

Straszno, lęk jakiś ogarnia nieznany — — —
Tutaj ze sobą w krąg kosmiczne moce
wziąwszy za bary zmagają się, walczą,
tutaj się wichry pastwi rozkiełznany,
wiekowych dębów gałęźmi szamocze
próżno; a tam ze służalczą
pokorą gną się osiki, brzeziny — — —
Piorun uderzył, pada dąb odwieczny,
pada na ziemię rozcięty na dwoje,—
a jeśli w dębie owym była dusza? — — —

Słychać w wichru poszumie:

Była — — —

DUSZA DĘBU

Piorunem na dwoje rozdarte me ciało,
ja idę się błakać po świecie,
ja idę w bagnisko, jak ognik tam skakać,
tam cicho płakać
nad tem, co już uleciało — — —
Ja, ziemi dziecię,
od ziemi oddarta,
idę się błakać po świecie,
idę świecić, idę zwodzić,



idę w bagnie boleść chłodzić — — —
Śmierć, śmierć, — skon, skon,
piorunu dzwon —
i wypełniona karta — — —

Słuchać w wichru poszumie:

Nie wypełniona — — —

CZŁOWIEK

Straszno. Las brzmi, huczy, śpiewa,
wicher się pastwi, padają drzewa,
chmury się czarne po niebie toczą,
wszędą śmierć, wszędy skon,
piorunu dzwon —
i wypełniona karta — — —
Czy wypełniona? — — —
Nie! — Życie to ciągła bez zwycięstwa walka;
i końca nie masz jej, ni kiedy cisza śpiewa,
ni kiedy wicher huczy, ni kiedy brzmią pioruny,
ni kiedy śmierć brzemieniem na duszy się kładnie.
Walka wciąż trwa, bez końca trwa — — —
Zawsze ktoś kona, zawsze ktoś się rodzi,
żeby do walki iść, padać — zwyciężać —
konać i znowu ożywać po skonie,
i znowu iść — i tak bez końca — — —
Śmiertelny dreszcz — narodzin krzyk,
piorunu dzwon — żywota skra,



roskoszy śmiech — szaleństwa ryk,
a życie trwa — i walka trwa — — —

i tak bez końca, bo niemasz końca — — —

Chmury się przewalają, pioruny, śpiew wicheru, trzask łamanych
galezi, bolesny dreszcz natury — — — i tak bez końca, bo nie-
masz końca — — —

CZŁOWIEK

I skonam ja, i przyjdą inni,
i konać będą znów — — —
Bo Śmierć to wielka, to wszechwładna pani,
na czoło złoży zimne dłonie
i ujdzie duch — — —
Ciężko, tak palą, dziwnie palą skronie — — —
— — — wody, choć kroplę wody — — —

DUCHY, co wokrag człowieka się snowią:

Szał wody prosi, kroplę wody — — —

WICHER, śmieje się szatańsko:

Zachciało się swobody,
zanadto gniotło jarzmo kark — — —
Szliście na bój, nadzieją palająca
rzesza; tam śmierć miast słońca,
śmierć miast swobody — — —

DUCHY bezradne

O wodę prosi, kroplę wody — — —



JEDNA Z BOGINEK, najpiękniejsza, złotowłosa, snąc leśnych duchów królowa —

Siostry, biegnijcie do strumyka,
niech fala która, co pomyka
wiatrem pędzona kędyś w dal,
niech przyjdzie tutaj — — — która z fal — — —

DUCHY radośnie

O! wodę niesie Grażel w liściu — — —

WICHER

Próżno się nad nim chylicie litośnie,
Śmierć idzie już — — —

CHÓR w popłochu

Śmierć, śmierć, skon, skon,
piorunu dzwon
i wypełniona karta — — —

ŚMIERĆ szeptem echowym

Nie wypełniona — — —

CZŁOWIEK

O idzie, idzie, straszna biała dziewa, —
widzę ją, idzie, skroń w lilijne kwiaty
odziała — — —
Żalobnie szumią drzewa; —



idzie, białe ma szaty,
sama biała,
skroń w kwiaty odziała,
to ona straszna, ona, Śmierć — — —

Ukazuje się biała niewymownej piękności dziewica, płynie cicha
wolno, to —

ŚMIERĆ, spokój ogromny po całej rozlany postaci.

Nie! jam nie straszna; popatrz w moje lica,
czystam ja, biała, niewinna dziewica;
ja spokój niosę i ciszę ze sobą — — —
Przecz ludzie mię lękiem witają, żalobą,
nie wiem. — Prawda, jam smutna,
oczy mam łez pełne, —
ale ja krzywdy ludziom nie uczynię — — —
Patrz, ja ci spokój niosę,
spójrzysz w moje lica,
przecz lęk? —
Tyś szukał mię w boju,
ty mię wołałeś, kiedy cię kochana
dziewa precz gnała,
dzisiaj się mnie lękasz? —
Wtedy nie przyszła, bo wyroki Boże
inną ci wtedy naznaczały dołę,
boś musiał kielich swój spełnić do końca,
boś musiał patrzeć na śmierć tego słońca,
co cię do boju wiodło,



bo wciąż konałeś, bo całe twoje życie
było konaniem i życia pragnieniem; —
dziś ja przychodzę —
niosę zmartwychwstanie,
niosę ten żywot, który już nie przejdzie,
nadzieje niosę, co się nie rozwieją — — —

CZŁOWIEK

Nadzieje, mówisz, co się nie rozwieją,
żywot, który nie przejdzie? — — —
O, biała! — — —
a moje życie nie było żywotem,
jeno pragnieniem nieustannem życia? — — —
Może to prawda — — — Tęsknoty olbrzymie
ciągle mię wiodły kędyś, w jakieś kraje,
których obaczyć snąc mi Bóg nie sądził —
O! życie moje smutne było, smutne — — —
jak mi spokojnie teraz, dobrze,
tak jakoś lekko — — —
O! nie odejmuj swoich białych dłoni
od moich oczu,
światło z nich się sący
i widzę przez nie, widzę, całe moje życie — — —
o! nie odejmuj dłoni — — —
Znasz moje życie? — — — prawda? —
ty wiesz wszystko — — — — —
— — — — —



Widzę:
chłopięciem jestem małym,
do matczynego przytulony łona
śnie — — —
a kędyś dusza pędzi rozmarzona,
skrzydłem białem
w zaświaty mknie — — —
Matka mi baśnie prawiała — — —
o bohaterach, co wielkimi czyny
świat zadziwiali, co nieśli swe życie
na jakieś bogom tajemne objaty
i nie lękała ich przemocy siła, —
czoła stroili w zwycięskie wawrzyny,
po torach nowych naprzód pchnęli światy,
do słońc sięgali, co tam, na błękicie
świecą promienne;
a choć wiedzieli, że im ikarowe
opadną skrzydła w locie,
że w morze śmierci zapadną bezdenne,
choć ranił cierni ich głowę, —
wszak wierni swojej słonecznej tęsknocie,
co bohaterskie rozpalala łona,
lecieli wyżej, wciąż wyżej i wyżej,
w skałę wieczności ryli swe imiona
i szli jak ptaki do słońca — — —
Mówiła Matka o szarej Niedoli,
co gniecie świat,
i co jej nie masz końca — — —



i o tem jarzmie mówiła, co boli,
zgina, w ramiona się wrzyna; —
i o cierpieniach Człowieczego Syna; —
i o tej Krzywdzie, co gnębi człowieka — — —
mówiła o tem jak widma — szatany,
kędyś z piekielnych źródzone otchłani
stos zapalały, kędy krwią oblany
bratnią, na krzyż przybity, lud kona,
a sępy
serce krwawiące, wyszarpięte z łona,
darły na strzępy,
krwi chciwe, krwi nie syte, —
jako na trupie, tron ma Krzywda — pani — — —
I powiadała, że kiedyś dzień przydzie,
że precz kajdany opadną rozbite,
że Krzywda w całej swej ohydzie
skona,
a Miłość zstąpi od Bożego trona
i zapanuje nad światem,
lecz pierwszej wiele łez i krwi wypłynie,
nim się ta czara wypełni,
czara odkupień — — —
a kiedy krew, jak morze, pianami się zwęlni,
Krzywda, co dzisiaj jak opoka stoi,
w tej rozpętanej utonie powodzi — — —
— — — Ty wiesz wszystko — — —
— — — — — — — — —
— — — — — — — — —



Widzę:

małem chłopięciem jestem; —
w nocie ciemne sen mię nie tuli,
dusza jakieś wizye przedziwne roi,
marzy jakieś krzyże, krzyże odkupień — — —
modłę się: O, Boże!
daj mi, o pozwól skonać, wielki Boże,
pozwól, niech życie tobie na ofiarę złożę,
niech życie moje będzie męką wielką,
niechaj na krzyżu, jako Syn Twój skonam,
lecz niech śmierć moja naród mój wybawi,
niech Życie potem już rąk swych nie krwawi
w gorącej, z serca wylanej posoce,
niech sęp skrzydłami głucho nie łopoce,
niech odkupieniem żywot mój się stanie
i w bólu strasznym skonanie — — —
pozwól, o pozwól, Ty, prześwięty Panie! — — —
taką modlitwę z głębi Iona-m
wyrzucił dziecię — — —

I już widziałem siebie męczennikiem;
najwyuzdańsze, dzikie jakieś męki,
brałem pokorny z Przeznaczenia ręki,
bólu rozpaczny nie zdradziłem krzykiem — — —
A w jakimś dziwnym świecie
cierpiałem:
nademną słońce paliło się złote,
promienie jego budziły tęsknotę



mak jeszcze nowych, o nowe wciąż razy
wznosiłem modły,
a kiedy kat podły
nowe zadawał mi cięgi,
dusza ma skrzydłem białem
leciała poprzez dróg tęczowych wstęgi
w niebo, do Boga tronu i tam brała siły — — —

Ale to wizye jeno gorączkowe były.
Życie me ciche płynęło spokojne — — —
tam w sercu jeno ciąglą miałem wojnę
pragnień i marzeń, bólów i rozpaczy;
czułem się mały, że choćby na ćwierci
darto me ciało,
tysiąc takich śmierci
byłoby mało — — —
i bunt się budził przeciw próżnej męce. —
I Chrystus konał, tak,
a czy wybawił świat? Dzisiaj jak wczora
świat się nieszczęsny w bólu miota, wyje, —
dzisiaj jak wczora jarzmo gniece szyje
i w kabląk zgina i łamie,
wiecznego bólu leży na nim znamię; —
i niby czarny, trupiożerny ptak
siadła na duszy mojej wąpień zmora — — —

Wszak nie wybawił Chrystus świata,
a Bogiem był,



ja, człowiek mały, bez sił,
ja się o taką śmiałem modlić łaskę,
głupiec! o taką prosić łaskę — — —
— — — Takem się tarzał i ziemię bił czołem,
a potem bluźnił, złorzeczył, przeklinał
i takem prosił, prosił, prosił — — —
a potem śmiechem szyderczym wybuchnął
i zdało mi się, że z tym śmiechem razem
wypłułem z duszy resztki tego Boga,
tego tyrana — nie Boga — — —
i własną teraz pragnąłem już mocą
świat w perz obrócić i nowy postawić — — —
— — — — — — — — — — —

A potem przyszła Ona — — —
Dziwną jaśnią Bóg oblał to białe,
to promienne czoło — — —
Powiedz, dlaczego jam wyciągał ręce
do niej napróżno? — — —
powiedz, dlaczego, kiedym ją obaczył
znów się poczęły dawne wiary budzić? — — —
Ona mi była wszystkim:
Bogiem i zbawieniem;
siłą i wiarą, mocą i nadzieją — — —
do niej jak do Boga
słałem modlitwy i znowu napróżno,
jako Bóg milczał na moje modlitwy,
tako milczała jej dusza — — —



jam wierzył, kochał — — —
znów w bezsenne noce, gorączką trawion,
trawion marzeniami,
które się ziścić nie miały,
o ziemię czołem biłem w serdecznej modlitwie,
kajałem się, błagałem, — próżno!
alem wciąż wierzył — — —
i dziś wierzę jeszcze,
że święta była ta dziewica biała,
co Bóg na mojej postawił ją drodze,
jeno za święta i za wielka dla mnie — — —
— — — — —

A potem przyszła trzecia wiara moja,
wiara w nadejście zmartwychwstań godziny.
Tutaj w tym lesie Duch się jasny jawił
zdziwionym oczom moim — — —
Duch to może bratni
temu, co dzieckiem na męczarni pola
wodził mię, a może on to zmartwychwstał — — —
i kazał walczyć mi i kazał pieśnią
w zamartwych sercach rozegrzewać tętno,
pieśnią potężną, zuchwałą, namiętą, —
kazał mi życie nieść — — —
Gęśle dały mi do rąk czarowne
dobre duchy lasu,
iść mi kazano —
szedłem jak szalony, gnany rozpaczą,



całą duszy mocą
oddany trzeciej tej mojej tęsknocie,
tej trzeciej wierze — — —
I dziś konam oto — — —
Powiedz, dlaczego wszystkie wiary moje,
wszystkie te moje ukochania złote
tak się musiały rozplynać, rozplynać
niby mgły srebrzyste — — —
tak mi czarownie świeciły, tak jasno,
tak mi się piękne wydały promienne,
potem się w nicość rozwiały,
dlaczego? — — —
Czy każdy żywot człowieczy
to jeno wiar złotych utrata?
to jeno ciągle nadziei rozwianie
i ciągle tęsknota do świata
innych, nadziemskich rzeczy,
i ciągle zawody, i ciągle konanie
i ciągle życia pragnienie,
aż nim ostatnie tchnienie
z ust ludzkich w twoje się usta dostanie? — — —
Powiedz ty! wszak ty wiesz wszystko,
ty wszystko nawskróś przeglądasz
temi łzawemi oczyma — — —
odpowiedz — — —

ŚMIERĆ

Czekaj i wierz, przez moje dłonie



przeszłość widziałeś, teraz ci oczy odsłonię,
i dzień dzisiejszy, coć zginął w powodzi
wspomnień, obaczysz — — —
Patrz! jam posłanka Boga,
tego, coś weń wiarę stracił,
jać mówię:
dziś konasz za to pierwsze ukochanie twoje,
za które śmierci prosisz u Boga,
a Bóg twej prośby wysłuchał.
I oto idę ja dziewica biała,
z księżycowego zrodzona promienia, —
idę i ciszęć niosę, niosę zapomnienie,
z ust twoich wezmę duszy twojej tchnienie,
wezmę je w pocałunku,
przed Boga zaniosę — — —
Jam piękna, patrzaj w moje oczy:
blaski promienne, co w mistycznych rajach,
płoną wzniecone wszechpotężną wolą,
te blaski w oczach moich się skrzą — — —
O! wiele, wiele tam u Boga tronu
blasków i światel, szczęścia i promieni — — —
Żyłam ja kiedyś tutaj na tej ziemi,
zrodził mię błądy promień księżycowy,
i pośród ludzi błądziłam jak dziewczę;
kochałam męża pewnego — rycerza,
kochanek skonał mi w walce — — —
o świętą walczył sprawę jako ty — — —
jam go szukała, a kiedy znalazłam,



trupem był; wonczas pocałunek
z ust jego wzięłam pierwszy — — —
usta były zimne — — —
i złorzeczyłam, przeklinałam Boga — — —
Potem jak z blasku powstała księżycą,
tak się rozwiałam w światłość księżycową,
a dusza moja po srebrnym promieniu
płynęła w niebo — i u Boga tronu
dziś żywię, Jemu służę — — —
Lecz często schodzę na ziemię,
Bóg mię ukarał za moje przekleństwa — — —
gdzie tylko ranny umiera bohater,
co w boju pada, jako mój kochanek,
ja muszę z jego zimnych ust
brać pocałunek, z nim ostatni dech — — —
jam — bohaterów śmierć — — —
— — — — —

Wicher, co był się nieco uciszył, nabierał sił snuć tylko, do ostatniego mołu, potężnego uderzenia; oto idzie już z hukiem strasznym, z loskotem gałęzi łamanych, drzew wrywanych z korzeniami; idzie, towarzyszą mu błyskawic wstęgi ogniste, piorunów warki złowrogie.

Z głębi od ugorów idzie DZIEWICA ona od CZŁOWIEKA umiłowana; kazala mu odejść, bo nie zdało się jej, by go pokochać umiała i mogła — a dziś szuka go pośród trupów: czarna żałobna odziewa ją szata, oczy łzami zamglone, smutne, a złote precudne



włosy w nieładzie opadły na ramiona; idzie błędna, wpół jeno przytomna, a wkoło tańczą ogniki, prowadzą ją, idzie za niemi. Pioruny warczą.

PIERWSZY OGNIK

Piorunu miecz
na dwoje dębu rozdarł pień,
a z pnia wystąpił jego cień — — —

DRUGI OGNIK

Tyś mu kazała odejść precz,
na tobie pomstę weźmie Bóg — — —

TRZECI OGNIK

Błyskawic smug
jak wieniec zwił
w krąg skroni swojej Bóg,
wyciągnął swą karzącą dłoń,
kosmicznych pełną sił,
i karać będzie —
On widzi wszędzie,
na duszach ludzkich siedzie, —
piorunem ma obwitać skroń — — —

CHÓR OGNIKÓW

piorunu dźwięk
i śmierci jęk, —
piorunu dzwon
i śmierć i skon — — —



Błyskawice zamigotały na niebie, przewinęły się po niem błękitnawo-zielonemi węzami i światłem dziwnem polanę oblały; widać konającego Człowieka.

CZWARTY OGNIK

O! patrz gdzie on! — — —

DZIEWICA ujrzała przy błyskawic świetle konającego, przypada doń prawie bezprzytomna, całuje ręce, ciało pocałunkami szalonymi okrywa — — —

To on! o Boże, Boże, Boże! — — —

CZŁOWIEK budzi się z omdlenia przedśmiertnego, może mu się w gorączce jej właśnie postać kochana jawiła, mówi jak w śnie:

O jasna! — — Boże! — — śmiertny sen! — — —
po co mię drażnisz widmem złud.

DZIEWICA z szalem miłości i rozpaczry — —

Nie sen, to jaw, to ja przy tobie —
kocham. Słoneczny, będziesz żył!
Już nie odejdę — — kocham — — wiecznie — — —
jak pies u twoich legnę stóp — — —
będę całować — — święty — — ja wyrodna — — —
zgrzeszyłam ciężko — — — kary dość — — —
o! Boże! błagam, niech on żyje! — — —

CHÓR lasu przy odgłosie gromu co się po konarach przetacza

Piorunu dzwon, —
i śmierć i skon
i wypełniona karta — — —



ŚMIERĆ jakby na chóru odpowiadając przełęczniony głos, mówi
z mocą

Nie wypełniona — — —

do Dziewicy

Napróżno lzy, napróżno jęk!
on mój, pocałunkami
w stygnącą pierś nie wlejesz życia — — —

DZIEWICA ujrzawszy Śmierć

Ktoś ty? — — — Ty śmierć? — — —
Ty, dziewica biała; ty chcesz go wziąć? — — —
Ja nie dam ci! On będzie żył! — — —

ŚMIERĆ

Tak nie stanowił Bóg! — — —

DZIEWICA

Bóg? — — — Mów Szatan, a nie Bóg!
Jam w łzach trawiła noce,
ustami wycierałam pył,
ustami rozpalalam głaz
posadzki w tumie — — —
ja się modliłam tak! — — —
Nie! — — — Bóg mi go nie weźmie!

do Człowieka

Daj usta! moje życie
ja w twoją pierś całunkiem tchnę — — —



CZŁOWIEK

O jasna moja! moja święta!
Nieznane są wyroki losu —
jam kochał ciebie — — — całą mocą — — —
jam życie niósł na kraju zew — — —
Modlitwa moja wysłuchana — — —
Słuchaj, pamiętasz, jam ci mówił,
pragnąłem zginąć, dzieckiem jeszcze
o śmierć modliłem się do Boga — — —
i — Bóg wysłuchał, widzisz, konam.
Konam w okropnym bólu — — —
gdybyż sam — — —
pragnąłem ciebie, dziś żałuję,
samemu lżej by było konać — — —
a snąć inaczej sądził Bóg — — —
czara po brzegi wypełniona,
modlitwy wysłuchane moje — —

ŚMIERĆ

to dwie, a trzecią ujrzysz potem. —
A teraz na mnie czas — — —
całuje go; do Dziewicy
o! i ty całuj, całuj, całuj — — —
już usta zimne — duch ja biorę,
ty zimne całuj usta, —
bo tak chce LOS — — —

DZIEWICA w bólu strasznym oszalała

Skonał — — — o Boże, Boże, Boże! — — —



od kiedy odszedł, tęsknot żar
zarzewiem duszę moją pali,
jak grot ze stali
przeszywa moją pierś — — —
Jam go odepchnęła,
a kiedy odszedł, taki żal
jął palić serce — — —
A teraz skonał oto — — —
o, ja bezsilna — — — ja wyrodna — — —
o, ciężki grzech — — —
ja za nim pójdę w grób, o Boże! — — —

Całuje

Zimne usta, zimne, zimne — — —
piorunu dzwon — — — o grzech — — —
o śmierć, o straszny dzień — — —
a miłość ma? — — — szalony ból — — —
a jam się tak modliła,
aż głaz posadzki w tumie
od moich rozmiękł łez — — —
a usta zimne, zimne — — — zimne — — —

Patrzy bezprzytomna przed siebie, patrzy kędyś w dal, w ciemnię
z boleścią błędne oczy utkwiała.

ŚMIERĆ z mocą

Siostro! nad nami stoi Bóg!
w tajemnej swych wyroków mocy,
On światom wskazał szlaki dróg,
które krążyć mają; On cień i głóg



i róże dawa; światła smug
i mroki nieprzebranych nocy
On rozpościera wkrąg,
z wszechwładnych Jego rąk
świat bierze kielich swój,
okrutnych mąk
i szczęścia zdroj — — —
Przychodzi do nas w blasku zórz
niebiański poseł, szczęścia kruż
przynosi pełną,
a niebo, nie pokryte welną
skłębionych tucz,
nad nami się rozwiera
słonecznym blaskiem jaśniejące — — —
a my — nie chcemy patrzeć w słońce,
a my nie widzimy, że to słońce,
i odpychamy szczęście precz,
i precz nam szczęście Bóg zabiera,
i z ócz
wyciska lzy palące — — —
I ty dziś płacz nad grobem bohatera — — —
nie wraży go powalił miecz,
nie z twoich śmierć wziął dłoni, —
lecz Bóg powołał go na szczyt,
gdzie, nim na ziemię spłynie, świt,
rumiany świt się płoni — — —
I ja kochałam bohatera,
ja zimne usta całowałam,



dziś błędę ja, dziewica biała,
Śmierć. — Podaj mi dłoń,
nas bratni łączy ból,
cierń jeden rani naszą skroń — — —
podaj dłoń — — —
Do zimnej piersi głowę tul,
zamarło już w niej serca bicie — — —
Ha! kiedyś wstanie z grobu on o świcie, —
lecz, kiedy przyjdzie świt? — — —
Wstaniesz i ty, i ja powstanę,
odnajdziem duchy ukochane,
usłyszym serc kochanych bicie — — —
a usta będą ich gorące — — —
z za chmur wypłynie złote słońce
na przeźroczystym, hen, błękiecie
stanie — — — lecz, kiedy przyjdzie świt? — — —

Patrz, Matka Boga, dziewa czysta,
jaki olbrzymi był jej ból — — —
Do piersi zimnej głowę tul,
zamarło już w niej serca bicie — — —
Patrz, tam przed nami widmo Chrysta,
jego śladami droga nam — — —

Kurban pradawny pęka naraz. W głębi widmo Ukrzyżowanego;
smutek niezmierny na jego maluje się obliczu. Z przeciwnej strony,
z gęstwiny wylaniają się Białych Rycerzów postacie, przechodzą
cicho, jak widma i znikają w rozwartej ziemi paszczy.

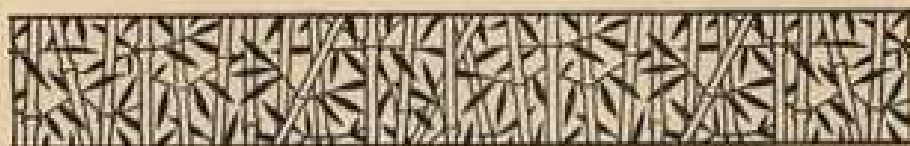


ŚMIERĆ

Chodź! weźmy trupa na ramiona,
ty głowę jego tul do łona, —
do stóp Chrystusa idźmy tam — — —
przez grób powiedz on na szczyt,
gdzie świt, gdzie wieczny złoty świt — — —
Ja Śmierć, ja pójdę znów,
na bohaterów siadać łona,
całować zimne wargi,
zdejmować ciernie z głów,
uciszać skargi — — —
I ciebie woła Bóg
do rzędu swoich sług:
ty, pogrążona w grobu cień,
będziesz tych gęśli jego strzec,
aż nim nadejdzie DZIEN,
aż nim nadejdzie ŚWIT — — —
ty gęśli strzeż, ja muszę biec — — —

Idą za Białych Rycerzów orszakiem i razem z nimi w paszczy
ziemi nikną, a ta się cicho zawiera.

Nad bojowiskiem dogasa zwolna burza.



ŚMIERĆ

Chodź! weźmy trupa na ramiona,
ty głowę jego tul do łona, —
do stóp Chrystusa idźmy tam — — —
przez grób powiedzie on na szczyt,
gdzie świt, gdzie wieczny złoty świt — — —
Ja Śmierć, ja pójdę znów,
na bohaterów siadać łona,
całować zimne wargi,
zdejmować ciernie z głów,
uciszać skargi — — —
I ciebie woła Bóg
do rzędu swoich sług:
ty, pogrążona w grobu cień,
będziesz tych gęśli jego strzec,
aż nim nadejdzie DZIEN,
aż nim nadejdzie ŚWIT — — —
ty gęśli strzeż, ja muszę biec — — —

Idą za Białych Rycerzów orszakiem i razem z nimi w puszczę
ziemi nikną, a ta się cicho zawiera.

Nad bojowiskiem dogasa zwolna burza.

CZEŚĆ CZWARTA

LEGENDA ♦ ♦ ♦



Ta sama polanka w lesie. Wieczór ciepły, letni wieczór wczesny; ledwie się słońce pochyłać zaczęło i przez cały ciąg sceny pochyła się zwolna, potem coraz szybciej, olbrzymieje, miedzianych nabiera połysków i barwami rozlicznymi puszcę zdobi, zdobi niebo i białe na niem obłoki. U stóp tajemniczego kurhanu siedzi STARZEC, bez prawej ręki, siwy, długa siwa broda spada mu prawie do pasa, powiew wiatru igra z nią i z włosami jak śnieg białemi na niepokrytej głowie Starca. Przy nim DZIEWCZĘ, młode, dziecko nieledwie, piękne, duże włosy złote winą się wkoło czoła, rozsypane puklami spadają na ramiona, modre oczy marząco patrzą w dal; słońce przez gęstwę liści przedziera się wązkimi pasemkami i plamami się kładzie na postaciach ich i aureolą w złotych Dziewczęcia włosach płonie.

STARZEC opowieść jakąś ciągnie, czasami żywo dłonią lewą gestykuluje, czasami głos mu zcicha, łamie się, zamiera; snąc dawne jakieś opowiada zdarzenia, których świadkiem był, sam w nich udział brał — — —

— — — — — Była wojna.

Szli starcy siwe, szła młódź niespokojna

walczyć o świętą wybawienia sprawę — — —

Z każdym dniem nowe przychodziły wieści,

że lud wystąpił w bojowanie krwawe,

że mu już dosyć było tej bezcześci,

że zbytnio jarzmo ugniata plugawe,

że czas duszącą przemoc nadszedł zgnieści — —



Tam się już walka toczy, nasi giną — — —
Dniem, nocą widzimy, jako niebios siną

przestrzeń oblały w krąg łuny pożarne — — —
I sam Bóg walczy, tak nam się zdało,
bo niebem chmury ciągnęły ciężarne,
echo rozgłosem piorunów jęczało,
lasem się cienie jakieś snuły czarne, —
a czasem było, że nie śpim noc całą:
po niebie chodzą jakieś krwawe miotły,
jakiś lęk chodzi, — baby dziwne plotły — — —

Ktoby tam babskiej był słuchał gawędy,
ale co prawda — prawda! były dziwne — — —
nie tylko u nas — naokoło, wszędzie — — —
po lesie chodził upiór, szlachcic siwy,
czasem wychodził na wioskowe grzędy,
twarz miał wybladłą, widno nieszczęśliwy
duch potępieńczy; — jak spotkał człowieka,
gadał z nim długo — i człowiek ucieka

w las, tam gdzie walczą, coś go — mówi — goni —
A wraz się z wioski ruszyli niedługo
wszyscy, kto tylko zdał się był do broni — — —
W nocy my wyszli. Na niebie się smugą
pali czerwona luna — — — w tysiąc koni,
mówią, kozacy stali tam nad strugą,
obozem stali — w «Kozaczej Oborze»; —
a naszych było dwieście ludzi może — — —



Szli śmiało pełnić przykazania Boże,
choć strach szedł z nami, choć nie mielim wiary. —
Tam, dle Hajnówki, mieszkał pan we dworze,
miał syna, córkę, sam był bardzo stary; —
mówili — dawniej hen, kędyś, za morze
jeździł na wojnę, teraz kubrak szary
wdział i szedł z nami, prowadził nas w pole
za swoją walczyć i za naszą dolę. —

Syn jego młody był jeszcze i razem
z ojcem nas wodził; o! rycerz był tęgi:
tak pod kulami stał, jakby żelazem
okuty, ciężkie dawał wrogom cięgi;
gdzie stanął, w miejscu tam twardym stał głazem,
wtył się nie cofnął, przemożnej potęgi
on się nie lękał, jako zuber dziki,
tak na kozackie szedł szable i piki — — —

A jak on umiał znienacka i zcicha
podejść i rozbić w proch kozackie sotnie!
jak ktoś padali, zmykali — do licha — — —
oj! przeklinaliż nas oni stokrotnie,
na bojuisku sotnia czasem zdycha,
wszystkich powstańcza kosa zrabie, potnie — —
Oni po puszczy błądzą, my — jak w domu,
osaczym — uciec nie damy nikomu. —

Był z nami trzeci. Noc padnie, bywało,
dzień cały nic nie jedli, a czasem i dwa dnie,



bojaźń i smutek ogarnie, nas mało,
garść coraz mniejsza, wnet całkiem przepadnie,—
on gęśli wyjmie — — — czasami noc całą
gra, aże słońce wyrzy, mrok opadnie, —
a w duszy nowe wyrastają siły
i nowej chce się walki, nowe ryć mogiły,

w mogiłach onych grześć niedolę swoją,
a choćby nawet głowę złożyć własną, —
bo już się ludzie ni śmierci nie boją,
już w gwiazdę swoją wierzą, gwiazdę jasną,
wszystkie się smutki, lęki uspokoją; —
że nie dojedzą czasem, że nie zasną,
że z ran serdeczna krew z bólem ucieka,
to — Bóg wszak widzi niedolę człowieka — —

I gęśle jego, dziwne gęśle płaczą,
zda się, że widzisz, jak płyną z nich ślozy
nad dolą naszą nieszczęsną żebraczą — — —
To rozbrzmiewają pieśnie pełne grozy,
grozy wojennej, to jak kruki kraczą,
to jak ogniste Eliaszowe wozy
pędzą i niebo krwawią jasną luną,
zda się potęgę zabrały piorunom; —

i taką mocą olbrzymią zadźwięczą,
takie bojowe z nich się leją tony,
taką nadziei jasną płoną tęczą,
że, z odrętwienia człowiek obudzony,



sam się już wstydzi, że mu wargi jęczą,
wstydzi się lęku, jeno z której strony
wrogowie, pyta, ima się oręża,
idzie i walczy — ginie lub zwycięża. —

O! dziwną pieśnią brzmiały gęśle jego.
Mówią, że mu je przynieśli anieli; —
i nie dziw, takie bo z nich pieśni biegą,
jak śpiew anielski; kiedy tak wystrzeli
pieśnią pod niebo, to z duchów, co strzegą
człowieczych losów, zda się jeden w bieli
duch tu na ziemię w blasku słońca spływa,
patrzy, jak cierpi ludzkość nieszczęśliwa,

ulgę w cierpieniu i pociechę niesie,
i nową siłę, nową wiarę dawa,
a dusza za nim kędyś w niebo rwie się — — —
— — — I tak ciągnęła się ta walka krwawa;
to tu, to ówdzie chodziłim po lesie,
co dzień to kogoś z naszych już nie stawa,
stary pan zginął przeszyty kulami,
syn jego objął przewodztwo nad nami. —

Znowu przez leśne biegliśmy ostępy,
w nieprzeniknionej kryli się gęstwinie — — —
Przez błota grzązkie do zacisznej kępy
skrytej w najdalszej lasu gdzieś głębinie
doszliśmy, obóz rozłożyli, tępy
już ostrząc oręż; jako strumyk płynie,



tak się spływały tam oddziałki nowe,
jedne ustale, inne w bój gotowe — — —

I po dniach kilku znowuśmy ruszyli
w siłach wzmocnieni, strasznej walki chciwi,
idziem, las patrzy, zda się głowy chyli
dębów rząd wiecznych, patrzy się i dziwi, —
dziwi go widok garstki, co się sili
walczyć z tłumami — — — Ha, ha! nieszczęśliwi
idą niedolą gnani i rozpaczą,
krwią ślady swoje, krwią serdeczną znaczą. —

Dęby nam pieśnią szumią, pieśnią mocy
tak nieugiętej, tak wielkiej, jak one,
kiedy burzliwej mrok je schłonie nocy,
wicher im zieloną chce zedrzeć koronę,
a Bóg po niebie miota ze swej procy
groty piorunów, straszne, rozognione,
a one stoją dumne, nieugięte,
bez lęku, w mocy swojej wielkiej święte; —

taką nam siłą brzmiały dębów szumy,
zda się wróżyły sławę i zwycięstwo,
cóż, że nas wroga wkrąg otoczą tłumy, —
piersi rozpiera ból, rozpacz i męstwo. —
Bóg nam pomoże, nie? — Szatana w kumy
prosić będziemy — — — a dokoła gęstwą
szum dębów starych przetacza się, huczy,
rozlewny taki, mocny, ale kruczy — — —



A tam, na niebie, dawno wyrok boski
był snąć wypisan w Przeznaczenia księdze
krwawych piorunów czerwonymi zgłoski, —
wróżył zwycięstwo wrażej on potędze — — —
Szliśmy tak, wreszcie przyszliśmy do wioski;
zaraz po dymów poznaliśmy wstęde,
że z drugiej strony wioski stoją wrogі;
ha! nie lękałim się przemocy mnogiej — — —

Już padły pierwsze strzały; wszystkie chaty
byłyby pewno spłonęły pożarem,
poprzez moskiewskie wznieconym harmaty, —
ale wódz kazał nam cofnąć się jarem
tutaj na łąki, pożałował straty
kobiet i dzieci; tu, pod drzewem starem
na wzgórzu stanął, my wkoło w nieładzie,
a tamten ręce na gęśli swej kładzie,

mówi: «O bracia! wkoło nas kurhany,
tu leżą ojców i praojców kości,
co to umieli bić się jak szatany,
gdy po ojczyste wróg im sięgał włości;
nie znali lęku, szli jak huragany
pełni bezbrzeżnej dla kraju miłości,
szli, a przed nimi wszystko czoła chyli,
sami bez lęku, więc innych trwożyli; —

oni z orlemi skrzydłami u ramion,
niby przedziwne jakieś groźne ptaki,



jak wieściciele jakichś bożych znamion,
szli, znacząc krwawe i śmiertelne znaki,
a duch ich trwogą nie był nigdy splamion;
serca ich były, jak Mojżesza krzaki,
tak gorejące miłością, tak Boga
miłości pełne, nie znali co trwoga.

Niech się wam zdaje, że teraz przed wami
owi rycerze z grobów swych powstali,
szumiąc białemi swych skrzydeł piórami,
cali stalowi, wykuci ze stali,
słońce nad nimi, oni płoną skrami — — —
my, ich synowie, czyż będziemy mali? — — —
i my pójdziemy strasznej mocy pełni,
zemst chmurą niebo nad nami się zwełni.

Ale precz trwoga, precz niewieście lęki — — —
Wiem, że wątpienie wam w duszę się wdziera;
ponad bezsilne niewolnicze jęki,
niechaj się okrzyk wzniesie bohatera,
który odrzucił precz narzędzie męki
i dumny wielki ku niebu spoziera,
bo wierzy w siebie, bo kocha i pragnie,
bo wie, żaden go szatan nie nagnie — — —

Z pieśnią na ustach, z sercem pełnem wiary,
sto ciał złączywszy w jednego olbrzymia,
święcone niosąc przed sobą sztandary,
idzie, i nic go w drodze nie powstrzyma — — —



Naprzód! niech trwogi rozwieją się mary,
dla tych, co pragną, żadnych przeszkód niema —
kto żyw, niech wstanie,
niech otrze oczy z łez!
wichrowe głosi granie:
niewoli nadszedł kres» — — —

— — — — —
— — — — —

Nie skończył pieśni, bo wkoło tymczasem
już się kozacy przedostali lasem.

Wszczęła się walka, trwała godzin parę,
gęsto padały trupy, gęściej strzały; —
już się po ziemi mroki snuły szare,
dym strzałów wroga nam przesłonił biały,
a jeszcze walczym, już straciłim wiarę,
resztki z nas jeno niewielkie ostały — — —
Wódz nasz z gęślarzem szli do boju pierwsi,
tamtemu kula głowę, temu piersi

przebiła i mnie oderwała rękę — — —
Omdlałem, nie wiem co się potem działo,
nie kazał Bóg mi taką znosić mękę,
ażeby widzieć porażkę; ściemniało
kiedym się zbudził — — — Leżę i nie jękę
niemocą zdjęty, całe boli ciało — — —
Po niebie idzie smok potwornej tuczy,
wicher gna puszcza, grom ponuro huczy,



a jakieś dziwy dokoła się dzieją:
po bojowisku, ponad trupów stosem
jakieś przedziwne białe widma wieją,
i puszcza zda się człeczym gada głosem,
tam kędyś w gąszczy szatany się śmieją,
biednym człowieczym ucieszone losem,
a wichry dębów konarami targa
i jakaś straszna brzmi po lesie skarga — — —

Jakby zaświatów rozwarte podwoje
w świat wypuściły duchów swoich rotę,
a te się suną, winą jak powoje
i bezszmernemi w krąg szybują loty,
krążą nad polem, kędy legli woje
w cień bluźnierczemi pogrążeni groty — — —
tam dusze białe w niebo się unoszą,
tam jęki rannych ptaki nocne płoszą — — —

A duchy, widma krążą; to bezgłośnie
płaczą, to śmiechem szyderczym wybuchną —
Tam idzie burza, ciemność wkoło rośnie,
tylko się kędyś blado świeci próchno — — —
Tam wichry wyją przeciągle, żałośnie,
groźnie, że zda się z lica ziemi zdmuchną
wszystko, co żyje, wszystko, co się waży
u boskich klękać nie dyablich ołtarzy —

Tam nie opodał leżał gęślarz ony,
wkoło się duchów zebrała gromada,



jakieś rusalki, starce, dziwożony,
wszystko to szepce, porusza się, gada — — —
a tam z gęstwiny, od zachodniej strony,
przyszła ku niemu jakaś dziewa blada
w białe lilijne przystrojona wieńce — — —
Anioły jakie — może potępieńce — — —

A tam od wioski przyszła inna pani,
córnka szlachcica, co był z nami w wojnie,
jęki jej głuche z biednej biegły krtani,
wkoło spojrzenia rzuca niespokojnie, —
szukała kogoś, co był może dla niej
wszystkiem na świecie; — a dokoła hojnie
czernią się trupów porzucone ciała,
a ona idzie między trupy śmiała — — —

Zdawna mówiono, że gęślarz on dziwny
piękną był oną miłował dziewicę,
lecz ona, nie wiem dla czego, przeciwny
wyrok wydała — — — Dziś smutek jej lice
piękne porzeźbił — — Tam brata trup sztywny,
z głową przez końskie strzaskaną racice,
leżał powalon na poprzek jej drogi,
w krwi jego błędne umaczała nogi,

i błądzi dalej, zda się coś ją goni — — —
może jej rozum nieszczęścia zabrały? — — —
U nas we wiosce powiadano o niej,
że dobra była, jako anioł biały,



że jakby świętych nimb miała na skroni,
taką światłością lica jej jaśniały,
i niewiadomo było tylko czemu
serca nie dała gęślarzowi temu — — —

A oto dzisiaj pomiędzy trupami
jego snąć szuka. — Błysk rozdarł niebiosy
i bojowisko oblał światła skrami,
grom zawył, puszcza tysięcznemi głosy
echo powtarza, dziewica ze łzami
krzyknie i biegnie, złociste rwąc włosy:
ujrzała w mroku kochanka, co kona, —
klęka i głowę tuli mu do łona,

i pieszczotliwem woła go imieniem
i dłonie jego pocałunkiem pieści,
jeszcze się dusza jego białym cieniem
w niebo nie wzbila, dziewica w boleści
chciałaby życie w nim obudzić tchnieniem
ust własnych, — wszakże innej były treści
wyroki Boże — on sądził skonanie,
już nie pomoże modlitwa ni łkanie,

ni k'niebu z gniewem podniesione pięście
ni łez potoki, ni rozpaczne jęki, —
z trupem śmiertelne czeka ją zameście,
łzy jej dodadzą jemu tylko męki — — —
O! nie tak straszna śmierć tam w boju chrzeście,
jak, gdy się czuje ukochanej ręki



na swoim czole dotknięcie miłosne,
ręki, co życia w grób układa wiosnę,

i wszystko światło, szczęście w grób układa,
bo nie zostało nic dla niej na ziemi — — —
Niebo gromami wyje: biada, biada!
błyskawicami sieje Bóg złotemi — — —
Ona się korzy, klnie — — — a dziewa biada,
liliami strojna na skroni białemi,
biednej wyroki snąć głosi złowieszcze — — —
Gęślarz już kona, już ostatnie dreszcze

wstrząsnęły jego ciałem; biała dziewa
z ust jego wzięła już ostatnie tchnienie — — —
Ona, podobna do słabego drzewa,
co je szamota wiatr, stoi, strumienie
ogni niebieskich świecą wkrąg i śpiewa
bólem ogromnym wichrowe jęczenie,
a gromy z taką snują się rozpaczą,
jak ludzie, kiedy napróżno kołaczą

do szczęścia bramy. Dziewa biała mówi —
wyroki Boże: «Nadejdzie dzień złoty,
kiedy Bóg każe swemu aniołowi
zdjąć kajdanowe z rąk człowieczych sploty,
na jego przyjście wy bądźcie gotowi — — —
ziszczą się wówczas słoneczne tęsknoty,
nad ziemią słońce przejasne rozplonie
i radość w każdym obudzi się łonie —



Znakiem nadejścia tego dnia wam będzie
gęźba tej harfy gęślarza tajemnej; —
kwiaty rozkwitną na życiowej grzędzie,
słońce widnokrag wam rozjaśni ciemny, —
lecz nim dzień przyjdzie, nim harfa zagędzie,
długo pierw musi leżeć tu w podziemnej,
tajnej kryjówce, kędy wiedzie droga
w kraje Szatana i na łąki Boga. —

Tu w tej jaskini, jako w grobie, leżą
duchy przodowne, co pod godłem Chrysta
szli na bój z życiem; Niebo im macierzą,
a Życie katem było, gwiazda czysta
była im wiarą, dziś jeszcze w nią wierzą,
lecz życia pomroc zasłoniła mglista
duchom tym światło szczęścia i zbawienia
i szli przez życie z stygmatem cierpienia.

Szli i za swoje ukochania, wiarę,
za świata krzywdę i za świata grzechy
nieśli swe życie, szczęście na ofiarę,
jęków ich ziemia nie chwyciła echy,
do dna bez skargi wychylali czarę, —
dzisiaj czekają tu rychłol' pociechy
godzina przyjdzie, dzień tak upragniony,
gdy zmartwychwstaną i świat spromieniony

obaczą szczęściem — Czekają, a co dnia,
w noc ciemną ziemia grobu się otwiera,



nowego brata witają przychodnia,
nowego tęsknot złotych bohatera — — —
A ponad światem wciąż panuje Zbrodnia. —
Ale nadejdzie nowych zdarzeń era,
nadejdzie jasna zmartwychwstań godzina
dla bohaterskich sług Bożego Syna. —

Ucisz jęk głośny, oto twój kochanek
pośród wybranych tam zasiędzie grona,
on był przodowny, pośród życia szranek
padł z bólem wielkim wżartym w głębie łona; —
z liści dębowych uwiń jemu wianek — — —
Pójdiesz w grób za nim, aż gęśl rozdziwiczona
w pieśni się cała nie rozbrzmi stugłośniej,
aż nie nadejdzie dzień szczęścia radosny,

ty w grobie razem z temi, co posnęli
miłowanemi Zbawiciela syny
będziesz czekała, aż ci anieli
zwiastują przyjście zmartwychwstań godziny;
wtedy wystąpisz w jaśni, duch się wcieli
twój w harfę śpiewną, w ręce ją dziewczyny
oddasz niewinnej; mąż, co ją posiędzie,
z harfy pieśń wielką przeświętą dobędzie,

a pieśń ta będzie zmartwychwstania znakiem. —
Wtem się rozpęknie ziemia, światłość sina
po ziemi długim się rozściela szlakiem,
tam krzyż się jawi z widmem Boga-Syna — —



a tam za białym srebrnośniącem ptakiem
idzie skrzydlatych rycerzów drużyna,
jaśni odkupień, wybawienia woje
idą i w grobu wstępują podwoje — — —

Ucichły gromy i wichru pieśń dzika,
puszcza echami głuchemi nie jęczy,
a przestrzeń cicha wypełnia muzyka
jakby śpiewały blaski barwnej tęczy,
jakby pieśń biegła z srebrnego promyka,
co skroń bolesną Chrystusową wieńczy;
a woje idą białe, jako śniegi,
idą promienne, jaśniające szeregi;

wszystkich pochłania ziemi paszcz otwarta,
wszyscy tam idą na sen spocząć długi,
jako przeznaczeń im kazała karta,
aż dzień nadejdzie, kiedy światła smugi
oblegą ziemię, Krzywda z ziemi starta
precz z niej ustąpi, a Miłości sługi
gędźbę usłyszą, co gra zmartwychwstanie
i wstaną objąć nad Ziemią władanie — — —

A w ślad za nimi kroczył duch gęślarza,
a przy nim jego nieszczęsna kochanka,
do grobu szła z nim, miasto do ołtarza,
w koronie z cierni, miast ślubnego wianka
wyroczne słowa bezdźwięcznie powtarza,



idzie w grób, idzie niebiańska wybranka
strzec gęśli pieśnią nim zabrzmią po świecie —
— — — — —

Zmęczony opowieścią długą, starzec głowę pochylił, na dłoni ją oparł, w oczach mu lzy dwie zaświeciły wielkie, nad dołą swoją i narodu swego płacze, nad tem, że dzień upragniony nie nadeszedł jeszcze; przysłonił powiekami oczy — — —

DZIEWCZYNA zwraca się ku niemu, jakby dalszy ciąg opowieści słyszeć chciała

Zmęczonyś dziadu? — — —

STARZEC

Usnę trochę dziecię — — —

Usypia; marzą mu się dawno minione, widziane i przeżyte dzieje, rycerze biali, co z grobu wyjść mają — i śni, że idzie z rycerzami razem, że dusza jego za nimi ku gwiazdom złotym szczęśliwości szybuje, przed Boga tronem stawą, zmartwychwstania przyście widzi. — A czoło i twarz siną mu się bladeścią powleka, nawet czerwone promienie zachodzącego słońca, co na nią upadły, ożywić jej nie mogą; ciało stygnie, dusza za rycerzami w niebo szybuje, posłannictwo skończone —

DZIEWCZYNA w rozmarzenia wokoło modremi pogląda oczyma to na słońce, konające za lasem w krwawej purpurze, to na srebrne, gdzieniegdzie miedzi połyskami błyszczące strumyka fale, wreszcie spoczęły jej oczy na dębie starym, rosnącym na szczycie kurhanu tajemnego, blaskami słońca dąb się rozplomienia —

Dziadzio usnęli. Dziwne prawil baśnie,
chciałabym kiedy widzieć takie dziwy —
Lęk mię przejmuję. Słońce krwawo gaśnie —



Oj dziadu, dziadu, jaki wy szczęśliwy,
żeście widzieli zaświatowe jaśnie, —
żebym ja mogła w swoim życiu kiedy
obaczyć takie cuda, takie dziwy — — —
Tam śpią rycerze, co świat cały z biedy
chcieli podźwignąć, zbawić od niedoli,
padli nieszczęśni, przemoc ich złamała,
jeno ich teraz rana w piersi boli — — —
A przyjdzie, mówią, jako anioł biała
dziewczyna — — — Boże, Boże mój, dlaczego
oni musieli skonać, ci rycerze? — — —
A tam czekają dnia upragnionego,
dnia zmartwychwstania; o, przyjdzie on, wierzę—
«A w ręku męża, co dziewczę posiedzie
gęśl przecudowną pieśnią znów zagędzie» — — —
pieśń się rozleje echami po lesie
i wieść radosną dokoła rozniesie
wieść, że dzień idzie, dzień oczekiwany,
że świat się budzi, że słońcem oblany
odtąd żyć będzie — — —
och kiedyż zagędzie,
taka cudowna pieśń?
ucichną skargi, ucichną jęki,
jeno wesołe rozbrzmieją piosenki — — —
Gdybym że mogła ja słyszeć te dźwięki! — —

Wypełni piersi cieśń
radosny odblask szczęść,



ucichnie krwawy bój,
opadnie gniewna pięść,
popłynie światła zdrój,
sto słońce zaświeci wkrąg,
nastanie koniec mąk,
precz zniknie mrok i cień,
zaświeci wieczny dzień,
ucichnie dziki broni szczęk,
anielskich chórów zabrzmie śpiew — — —
o! gdybym ja mogła usłyszeć ten dźwięk,
usłyszeć ten śpiew — — —

Dąb się dziwną jaśnią rozświeciła, blaski sieje mistyczne wokoło,
a u jego stóp, stoi DZIEWICA ona zaklęta, wokoło niej światłość,
oczy blaskiem płoną —

DZIEWCZĘ

Boże, ach! co to? to ona, to ona!
Jaśnią dziwną oblana
Harfę tuli do łona — — —

— — — — —

DZIEWICA

Dziewczę, ugnij kolana!
Ja, od Boga zesłana,
Boże niosę rozkazy:
weź tę harfę, jej struny
przedziwnymi brzmiały runy, —
dziś milczy harfa święta — — —



W ręku męża, co ciebie posiedzie,
to cudowne orędzie
pieśnią dziwną zagędzie — — —
duchy klęte rozpęta,
duszą natchnie i głazy
i rozebrzmi echami po świecie — — —
Tyś od Pana,
od Boga wybrana,
święte gęśle weź dziecię — — —

Dziewica znika, jeno gęśle tajemne, promienne, srebrnym blaskiem
jaśniejące, leżą u stóp dębu. — Dziewczę ogląda się chwilę dokoła
trwożliwie, potem chwyta gęśle, okrywa je troskliwie chustą, tuli
do piersi i szybko ucieka w gąszcz leśną — — — — —
— — — — —





SPIS RZECZY.



Część pierwsza — Z księgi wyroków	3
Część druga — Duch	13
Część trzecia — Śmierć	29
Część czwarta — Legenda	57



NAKLADEM AUTORA.